

## Wojciech Stanisławski: Ostateczne potarganie węzła

Przy patrzeniu przez różne soczewki rozmaicie załamuje się światło, różnie hierarchizowane są cnoty i cele polityczne. Karolina Wigura i Jarosław Kuisz nie kwestionują „suwerenności” jako takiej: po prostu nie jest ona dla nich, jak się wydaje, wartością samą w sobie – pisze Wojciech Stanisławski w nowym felietonie z cyklu „Barwy kampanii”.

Szkwał, spowodowany przez artykuł dvojga publicystów „Kultury Liberalnej” opublikowany na łamach „New York Timesa” trwał nawet krócej niż zapowiadane na weekend przelotne opady na Mazowszu. Niedobre to bardzo (to znaczy brak opadów) dla porzeczek; dla tekstu Karoliny Wigury i Jarosława Kuisza może i dobre, bo wygląda na to, że o przestrzeń do dyskusji coraz trudniej, a i symetryzm po polsku polega już tylko na tym, że jednym przeszkadzają wyłącznie słynne bluzgi miotane przez Andrzeja Seweryna, podczas gdy innym – wyłącznie bluzgi miotane przez anonimowych krytyków wspomnianego wyżej tekstu.

Znalazłem się w osobliwym miejscu, w którym jednakowo nużą mnie jedne i drugie ranty. U Seweryna doskwiera przede wszystkim monotonia perseweracji, u krytyków tekstu w NYT – marzenia o wcieleniu się w egzekutorów Państwa Podziemnego, bo tak chyba należy rozumieć podnoszone przez nich postulaty „ogolenia głowy”

red. Wigury (co ciekawe, nie padają one pod adresem red. Kuisza, też przecież świetnie uczesane; dla niego, jak rozumiem, e-bojowcy szykują kulę).

Te dość straszliwe sugestie golarki lub kuli to oczywiście wyraz przekonania krytyków artykułu „Poland Isn't the Friend the West Thinks It Is”, że sformułowane w nim postulaty stanowią wyraz ‘zdrady narodowej’. Na co obrońcy Wigury (i krytycy krytyków) odpowiadają niemal równie obiegowo, że „tak samo pisano w »Żołnierzu Wolności« o Polakach, piszących na Zachodzie źle o PRL”. Po czym zaczyna się rozmowa o tym, na ile Jarosława Kaczyńskiego można porównywać do Władysława Gomułki, a na ile (to inna odważna koncepcja ostatnich dni) do Wojciecha Jaruzelskiego, których również krytkowano, bywało, na łamach „NYT”; rozmowa równie nudna (bo przewidywalna) co perseweraacje Seweryna.

W szkicu Wigury i Kuisza wiele jest sformułowań szczegółowych, z którymi można by podjąć polemikę: od klasyfikacji PiS jako „twardej prawicy (*hard right*)”, poprzez określenie zmian w dostępności aborcji mianem „drakońskich” i wymienianie kobiet jako głównego, prócz imigrantów, „obiekta prześladowań” (*the chief target*), aż po zestawienie Polski w jednym szeregu z Turcją, Rwandą i Indiami, kokietyjnie określonymi mianem państw „umiarkowanie liberalnych” (*not-so-liberal*). Są to jednak w znacznej mierze standardowe zastrzeżenia, które, pisząc krytyczny artykuł o PiS, można by odhaczać ołówkiem na roboczej checkliście: represyjne prawo – jest, uchodźcy – jest, kolanopokłonność (*genuflection*) przed biskupami – jest. I przecież nie to zwróciło uwagę polskich czytelników „NYT” na szkic publicystów „Kultury Liberalnej”, lecz – oprócz może zaszytej w tytule tekstu nuty demitologizacyjnej czy demaskatorskiej – nietuzinkowy

postulat uwarunkowania skali dostaw sprzętu wojskowego dla Polski (a dokładniej, współfinansowania przez Waszyngton dozbrajania Wojska Polskiego) od skali przestrzegania praworządności.

Oczywiście, można się spierać o bezstronność ocen sytuacji w Polsce, dokonywanych przez Wigurę i Kuisza, można pytać o szczegółowe rozwiązania dotyczące warunkowości pomocy Waszyngtonu, a nawet fantazjować na temat jej przeliczników. Być może w zamian za nominowanie na nową naczelną „Dialogu” red. Joanny Krakowskiej, czego chcą rzesze krytyków oburzonych na dyktatorskie metody resortu kultury, Polska mogłaby np. otrzymać od USA lotniskowiec zdyslokowany w pobliżu Przesmyku Suwalskiego, najlepiej na jeziorze Wigry?

Decydujące jest jednak pytanie: czy postulat publicystów „Kultury Liberalnej” przekroczył granice dopuszczalnych zachowań? Jak ocenić sugestię ograniczenia możliwości obronnych własnego kraju w imię modyfikacji standardów życia publicznego?

Krytycy tekstu Wigury i Kuisza podnoszą nie tylko kwestię osłabienia zdolności obronnych Polski w sytuacji zagrożenia agresją rosyjską (w takiej sytuacji te „zdolności obronne” zaś to nie pozycja w jakimś rankingu SIPRI czy RAND, lecz konkretni ranni i zabici). Niemal równie istotne jest w ich oczach postawienie pod znakiem zapytania czystości intencji wspierającej Kijów Warszawy. Skoro udzielała ona wsparcia wyłącznie w celu poprawy wizerunku polityków PiS – kompromituje to zarówno jej wysiłek, jak jej postulaty w kwestii ukraińskiej. To zaś oznacza, że w zasadniczym sporze o skalę wsparcia militarnego i

politycznego Ukrainy, który toczy się w UE (i szerzej na Zachodzie) rację należy przyznać stolicom, prezentującym biegunowo przeciwne stanowisko niż Polska.

Podzielałm sporo z tych zastrzeżeń. Chcę jednak zwrócić uwagę na jeszcze jedno zjawisko: na daremność polemiki ze względu na zasadniczo odmienne hierarchie wartości dyskutantów. To oczywiście nic nowego, prof. Marek Cichocki i szereg innych autorów od lat piszą o iluzji sielanki czy współbrzmienia idealnych wartości, podczas, gdy życie *polis* polega na dokonywaniu między nimi dramatycznych nieraz wyborów. Spór o tekst w „NYT” pozwala jednak dostrzec to wyjątkowo jasno.

Krytycy tekstu – i ci od „golenia głowy”, których najwygodniej nagłośnić, i ci podejmujący racjonalną polemikę – są wstrząśnięci obojętnością autorów tekstu na kategorię suwerenności. I łatwością, z jaką przychodzi im zarówno przedstawienie stanu rzeczy w swoim kraju w nieżyczliwym świetle, jak postulat działania na jego szeroko pojętą niekorzyść.

Tyle, że jest to kwestia różnego hierarchizowania wartości – i odpowiedniego doboru barw, jakimi odmalowuje się sytuację. Wolno przypuszczać, że zdecydowana większość czytelników „Teologii Politycznej” zachowuje przekonanie o fundamentalnej wartości rodziny jako takiej i traktuje z dystansem postulaty zwiększenia roli państwa czy edukatorów kosztem uprawień rodziców. A zarazem – nie ma pewnie nikogo, kto nie byłby wstrząśnięty niedawną gehenną ośmiolatka z Częstochowy i, przynajmniej w pierwszym odruchu, nie pomyślałby z oburzeniem o bierności miejscowych sądów rodzinnych,

kuratora, MOPS i wszystkich instytucji, w których gestii był nadzór nad rodziną dziecka i reagowanie na jego krzywdę. Ale też, żeby zaproponować wiraż w drugą stronę nie zmienia to przecież naszej kwalifikacji czynów Pawlika Morozowa, który, gdyby spojrzeć na jego czyn pod pewnym kątem, po prostu nie dopuszczał, by patologicznie rozumiana siła więzów rodzinnych przesłoniła mu powinności społeczne.

Po prostu: przy patrzeniu przez różne soczewki rozmaicie załamuje się światło, różnie hierarchizowane są wartości. Karolina Wigura i Jarosław Kuisz nie kwestionują znaczenia „suwerenności” jako takiej. Podkreślają nawet, że rząd PiS „w rzeczywistości broni [polskiej] suwerenności i prawa do samostanowienia – co jest zobowiązaniem (celem) raczej egzystencjalnym niż ściśle politycznym”. Wspominają nawet o „traumie utraty suwerenności”, traumie przede wszystkim polskiej, choć wspólnej wielu krajom Europy Środkowo-Wschodniej, która motywuje je do przeciwstawiania się rosyjskiemu imperializmowi. „Wskutek przeżyć historycznych / staliśmy się psychicznie skrzywieni”, jak pisał o tym (inna rzecz, że w tomiku „Studium przedmiotu”, nie na łamach „NYT”) klasyk. Tyle, że nie dzielają już tego punktu widzenia.

Historycznie w konflikcie tych dwóch wiązek wartości – „suwerenności” i „lojalności względem swojego kraju” vs. „pełnej realizacji standardów” oraz „realizacji liberalnych postulatów w kwestii aborcji czy otwartości granic” – zazwyczaj wygrywała ta pierwsza. Zmiana w tym polu – erodowanie znaczenia suwerenności, czy, jak napisałby to Herbert, potarganie przez wyzwalających się pokrwawionego węzła – jest jedną z najistotniejszych przemian, jakich doświadczamy wspólnie.

*Wojciech Stanisławski*

Przeczytaj inne felietony z cyklu „Barwy kampanii”

*Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa  
Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury*



Ministerstwo Kultury  
i Dziedzictwa Narodowego

---